

Olaf Kühl

**Tłumaczenie literatury - przygoda pomiędzy duchowością a ekonomią
Przemówienie**

Tłumaczenie literatury jest przygodą, i to pod wieloma względami. Po pierwsze, pod względem ekonomicznym – samo wyobrażenie, że można żyć wyłącznie z tłumaczeń literackich, należy uznać za osobliwe. Nie zamierzam jednak zacząć od narzekania na niskie honoraria wydawnicze, brak udziału w zyskach itp. Takie kalkulacje pozostawiam innym, którzy są w tym lepsi. Nie udało mi się na przykład do dziś wyliczyć mojej własnej stawki godzinowej. Wiele lat pracowałem wyłącznie w wolnym zawodzie i dopiero później – skądinąd za osobistą radą Karla Dedeciusa – podjąłem pracę w dziale zagranicznym Senatu miasta Berlina. Z pracy na tym stanowisku, którą wykonuję w niepełnym wymiarze czasu, pokrywam odtąd wydatki na czynsz i telefon. Pomaga mi ona też finansowo przetrwać okresy, gdy nie mam wystarczającej ilości zleceń. To minimalne zabezpieczenie pozwala mi między innymi również odrzucać propozycje tłumaczenia książek, do których nie jestem do końca przekonany. W innej sytuacji musiałbym się ich mimo wszystko podjąć, żeby przeżyć.

Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że czasami pojawiają się iskierki nadziei. Jedną z nich pojawiła się przy mojej pracy nad nową książką Doroty Masłowskiej „Paw królowej”. Wydawnictwo Kiepenheuer & Witsch wykazało zrozumienie dla niesamowitych trudności przy tłumaczeniu tej tak bardzo stylizowanej hiphopowej prozy i wynagradza mi je, płacąc jak za tłumaczenie liryki. To wyjątkowo przyzwoite z ich strony i należy o tym głośno mówić. Myślę, że inne wydawnictwa mogłyby wziąć z tego przykład.

Tłumaczenie literatury jest przygodą również pod względem duchowym. Każdy dobry tekst to nowe nieobliczalne zadanie, wyzwanie – przygoda właśnie. Istnieją liczne metafory tłumaczenia. Karl Dedecius chętnie opisuje je jako pracę przewoźnika. Można więc wyobrażać sobie prom albo most – ale dla mnie tłumaczenie dopiero wtedy staje się naprawdę ciekawe, gdy oba kontynenty – masy lądowe języków, narodów, indywidualności – są sobie tak obce, tak bardzo od siebie oddalone, że zwykły przekład nie jest możliwy. W takich chwilach, by pokonać przepaść, trzeba po prostu skoczyć. Taki skok wyzwala adrenalinę i nagle człowiek czuje, że żyje. Decyzja, żeby unieść się i polecieć – rzucić się w przestrzeń niepewności – jest za każdym razem podniecająca. Ta osobliwa chwila lotu to swoisty sprawdzian własnych możliwości – albo kreatywność poniesie nas wystarczająco daleko, by wylądować na drugim brzegu, albo ze strachu przed lataniem spadniemy w dół.

Właściwie samo mówienie o „zwykłym przekładzie” to tylko eufemizm. Słowniki sugerują nam stabilne drogi w miejscach, gdzie w rzeczywistości oferują tylko wydeptane ścieżki, drogi najmniejszego oporu. Te tropy zawsze są już przestarzałe. Cementują standardowe rozwiązania, ale zabetonowują

tym samym również żyzną, żywą glebę, przepaści, rzeczy niemożliwe do połączenia i obce, które istnieją praktycznie wszędzie pomiędzy dwoma naturalnymi językami, jeśli się tylko wystarczająco głęboko grzebie i długo namyśla.

Im odważniej autor pracuje w świecie swojego języka i ten język zmienia, tym większe stanowi on wyzwanie dla odwagi tłumacza i jego gotowości do łania. Dla mnie samego ramy tych wyzwań wyznaczają nazwiska dwóch autorów - Witolda Gombrowicza i Doroty Masłowskiej. W odwrotnym kierunku wymieniłbym Elfriede Jelinek, na której celowej toporności i dowcipie językowym łamię sobie obecnie zęby najlepsi polscy tłumacze – mam jednak nadzieję, że na tym nie poprzestaną.

Duchowa przygoda tłumaczenia dostarcza jeszcze więcej wrażeń, gdy pracuje się z żyjącymi autorami. Czasami wydaje się, jakby człowiek zbliżał się do aktywnych wulkanów. Skąd wziąć pewność, który z nich niedługo wygaśnie, który pod naciskiem maszynierii wydawniczej będzie w przyszłości wypluwał z siebie tylko ciepłą szlakę, a który za chwilę wytryśnie ognistą lawą, produkując mistrzowskie dzieło? Co do tego nigdy nie ma pewności, i to jest piękne. W czasie podróży czytelniczych i prywatnych spotkań tłumacza i autora powstają osobiste przyjaźnie i stosunki pełne swoistego napięcia. Same te kontakty międzyludzkie powodują takie zaostrzenie i intensyfikację poczucia, że się żyje, iż moim zdaniem wynagradza to w znacznym stopniu nieciekawą sytuację ekonomiczną.

I tak z perspektywy tej wspaniałej duchowej przygody, którą jest tłumaczenie literackie, narzekania na marną sytuację ekonomiczną brzmią prawie tak, jak ubolewanie mieszczanina, który domaga się materialnego bezpieczeństwa i stałego etatu. Nie chciałbym powodować nieporozumień - popieram całkowicie żądania związku tłumaczy VdÜ w sporze o honoraria. Ale oba wspomniane znaczenia słowa „przygoda” – „przygodą” jest niepewna ekonomiczna sytuacja tłumacza i w równym stopniu „przygodą” są szanse i możliwości jego pracy – dobrze ilustrują dylemat naszego stanowiska w negocjacjach z wydawcami.

Przejdźmy wreszcie do tematu: wyróżnienie takie jak Nagroda im. Karla Dedeciusa, fundowana przez Robert Bosch Stiftung, łączy oba te aspekty – ekonomiczny i duchowy. Suma, jaką otrzymują laureaci, to porządny zastrzyk finansowy dla tłumacza, przyzwyczajonego do marnych honorariów. Przesłanie jest proste: „Traktujemy nasz werdykt poważnie”. Jednocześnie jury, złożone z wybitnych przedstawicieli obu nacji, dba o to, by każdy z laureatów mógł być naprawdę dumny z tego, że przeszedł przez sita wyboru. I to uczucie dumy w rezultacie wielokrotnie przeważa nad wartością otrzymanych pieniędzy. Sam nie wiedziałem, jak skrupulatnie sprawdzane są te tłumaczenia przez wiele osób – sławistów, pisarzy danego języka i jeszcze osoby trzecie – zanim Karl Dedecius potwierdzi daną decyzję osobiście. Gdybym o tym wiedział, jeszcze mniej liczyłbym się z możliwością otrzymania nagrody,

niż to tak czy inaczej czyniłem. Istnieją inne nagrody dla tłumaczy, ale dla tłumacza literatury polskiej Nagroda im. Karla Dedeciusa stanowi ukoronowanie wszystkiego.

Seite 3

Oprócz Nagrody im. Karla Dedeciusa Robert Bosch Stiftung tworzy i finansuje liczne inne stypendia robocze i programy promocyjne. Wspiera warsztaty dla adeptów tłumaczeń i profesjonalistów (w ramach programu „Budowniczywie literackich mostów”). Brałem już udział w kilku takich seminariach i wiem, jak owocna i inspirująca jest taka wymiana, ile pomysłów rodzi się dopiero w dialogu. Za to zaangażowanie należy się fundacji podziękowanie i uznanie.

Na koniec pozostaje mi jedynie trzymać kciuki za wielu kandydatów do Nagrody im. Dedeciusa, a Państwu podziękować za uwagę.

Tłumaczenie: Agnieszka Siemasz-Kaluza